

POSPOLITE

**FAKE**  
*closeness*

beYA.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Adrian Matuszkiewicz

Redakcja: Beata Stefaniak-Maślanka

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: [kontakt@beya.pl](mailto:kontakt@beya.pl)

WWW: [beya.pl](http://beya.pl)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

[beya.pl/user/opinie/fakclo](http://beya.pl/user/opinie/fakclo)

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-2973-9

Copyright © polspolite 2026

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

## Wstęp

„Dla ciebie nie istnieje nic pomiędzy czernią a bielą. Nie dostrzegasz żadnych szarości, ponieważ panicznie boisz się wyjść poza swoją strefę komfortu i spojrzeć na siebie łaskawszym okiem. My, ludzie, zostaliśmy zaprogramowani, aby być perfekcyjnie nieidealnymi, ale naiwni wyznawcy perfekcji twojego pokroju celowo to wypierają. A potem cierpią, próbując stać się idealni dla tych, którzy nawet nie są tego warci”.

Te słowa wypowiedziała do mnie moja matka.

Kilka dni po tym, jak ślepo goniąc za perfekcją, prawie posłałam siebie w zaświaty.

# Prolog

*Dziesięć lat wcześniej*

Tego dnia ich samochód się zepsuł i stanął na ulicy Snow Hill. Mężczyzna nie miał czasu na to, żeby wezwać taksówkę. Jego córce do rozpoczęcia lekcji pozostało raptem dwadzieścia minut, dlatego był zmuszony wziąć swoją siedmioletnią pociechę na ręce i z togą adwokacką na ramieniu oraz aktówką z notatkami pod pachą pobiec przez zatłoczone centrum w kierunku szkoły podstawowej na Vicarage Road. Za sprawą regularnych treningów na siłowni mógł się pochwalić doskonałą kondycją, lecz garnitur i niewygodne lakierowane oxfordy, które miał na stopach, przeszkadzały mu w sprawnym przemieszczaniu się w kierunku szkoły. Czuł się tak, jakby brał udział w długodystansowym maratonie i walczył o ustanowienie nowego rekordu, a wyglądał tak, jakby uciekał z własnego ślubu – i to z dzieckiem na rękach.

Z uwagi na dziewczynkę tulącą się do jego piersi, powstrzymał się od tego, by zakląć siarczyście pod nosem, gdy poczuł, jak toga zsuwa mu się z ramienia. Kątem oka spostrzegł, że rzep jednego z eleganckich bucików jego córki się odpiął. W biegu, wymijając przeszkody i ludzi, manewrował ręką tak, żeby nie upuścić togi, a jednocześnie zapiąć obuwie dziewczynki.

*Ojciec roku? No raczej.* – Ta skromna myśl pojawiła się w jego głowie, gdy dokonał niemożliwego.

Dorian od zawsze uważał się za wielozadaniowego gościa, ale dzisiejsze poranne komplikacje kosztowały go sporo energii.

Biegł ulicami Birmingham ile sił w nogach, byleby nie dopuścić do tego, że jego największe szczęście spóźni się na lekcje już pierwszego dnia

szkoły. Nie dbał o to, że wpadnie z poślizgiem do Birmingham Civil Justice Centre przy Bull Street, narażając się na karzące spojrzenie sędziego, oczekującego niepunktualnego mecenasa Cartera, aby rozpocząć posiedzenie. Najważniejsza była dla niego Sophia. Od dnia, w którym po raz pierwszy wziął ją na ręce, a ona popatrzyła na niego wielkimi oczami, nieodwracalnie odmieniając jego życie. Wyłącznie dzięki niej nie czuł się samotny na świecie. Jego serce było w naprawdę podłej kondycji... Dorian Carter był wprawdzie zdrow jak ryba, lecz trwający latami romans jego żony – kobiety, w której wciąż był beznadziejnie zakochany jak szesnaścieletni szczeniak – rujnował mu życie.

Gdy po niespodziewanej porannej przebieżce ulicami centrum Dorian, ciężko dysząc, znalazł się na terenie szkoły, pognął korytarzem w stronę sali numer siedem, w której jego córka miała odbyć pierwszą tego dnia lekcję. Dotarł pod klasę, przykucnął, a następnie postawił przed sobą dziewczynkę, która poza kolorem włosów w każdym aspekcie była jego małą kopią. Fryzura, którą zrobił jej dzisiaj rano w pośpiechu, nieco się popsowała, więc, niewiele myśląc, poprawił ciemne kucyki. Miał już w tym wprawę. Całe przedszkole robił za jej prywatnego fryzjera i nieustannie znajdował w swoim samochodzie i aktówce kolorowe spinki. Nie przynosił ich do domu, tylko zostawiał w szufladzie biurka znajdującego się w kancelarii i kolekcjonował jak najcenniejsze skarby. Czasami, gdy w ciągu dnia tęsknota za córką dawała o sobie znać, wyciągał z szuflady jedną z nich i obracał ją między palcami, nie mogąc się doczekać południa, gdy znów się zobaczy. Kiedy przesiadywał w pokoju córki, udając króla Doriana, i popijał herbatkę z plastikowych kubków w towarzystwie jej szmacianych lalek, rozluźniał się i pozwalał, by dziecięcy śmiech koił i leczył jego zranione serce.

Uśmiechnął się do córeczki pokrzepiająco, kładąc dłonie na jej barkach. Zaczął mu się udzielać stres dziewczynki. A ze stanu opanowania nie potrafiło go wytrącić nawet odczytywanie wyroku przez najbardziej surowego sędziego okręgu West Midlands. Po skroni mecenasa nigdy nie spłynęła strużka potu z obawy przed niekorzystną dla jego klienta decyzją. Jednak widząc strach w oczach córki, sam poczuł to napięcie, które towarzyszyło mu lata temu, gdy uczęszczał do tej szkoły.

– Jesteś mądra, silna i ważna, skarbie. Poradzisz sobie, bo masz na nazwisko Carter – powiedział, po czym pocałował ją w czoło i wsunął jej na plecy brokatowy plecak.

– Nie idę tam – odpowiedziała mu buntowniczym tonem, strzelając focha.

– Soph, rozmawialiśmy już o tym... – Dorian domyślił się niemal od razu, co stało za tym małym protestem. – To, że Maya przeprowadziła się wraz z rodzicami do Sheffield, nie oznacza, że będziesz samotna. Możesz się teraz zaprzyjaźnić z innymi dziewczynkami – troskliwym głosem ponownie podjął temat, który walczyli w domu od tygodnia. Widząc naburmuszoną minę córki, powędrował dłonią do jej słodkiej buźki, a następnie palcami uniósł kąciki ust dziewczynki. Podziałało, rozchmurzyła się. Gestem delikatnie zachęcił, by weszła do klasy. – Kocham cię, Soph, mój ty skarbie najdroższy. Będę na ciebie czekać po lekcjach. Rozdzielamy się tylko na chwilę – zapewnił.

Zestresowana siedmiolatka ponownie do niego przyłgnęła. Objęła małymi rączkami jego kark i zdawało się, że nie wypuści go z tego uścisku po dobroci.

– Też cię kocham. Baaaardzo. – Pociągnęła go lekko za włosy, jak miała w zwyczaju.

Odpowiedzią na ten gest był melodyjny, pełen uwielbienia śmiech jej ojca. Przepadał za tym, gdy tak robiła, nawet jeśli czasami było to bolesne.

– No już. Leć zdobywać wiedzę, kochanie – pośpieszył ją. – Ja w tym czasie będę się kłócił z takim jednym bogatym panem i zabiorę mu dużo pieniędzy.

– W tej śmiesznej sukience? – Dziewczynka pociągnęła za materiał togi.

– Tak, skarbie. W tej śmiesznej sukience – skwitował, parszkając śmiechem. – A teraz zmykaj.

Posłała ojcu ostatnie spojrzenie i niepewnym krokiem ruszyła do sali.

\* \* \*

Chwilę później Sophia stała już w klasie, w której jak zawsze po powrocie uczniów z wakacji panował niemały harmider. Ten hałas tylko potęgował jej rozdrażnienie. Dzisiejszego poranka obudziła się smutna, z pustką w sercu, ponieważ doskonale wiedziała, że nie usiądzie w szkolnej ławce ze swoją najlepszą przyjaciółką. Ale tego, że JEJ ławkę, tę samą, którą przed przerwą letnią dzieliła z Mayą, będzie okupował jakiś obcy chłopak, już nie przewidziała. Zmrużyła podejrzliwie oczy, po czym ruszyła w stronę intruza.

– Mogę z tobą usiąść? – zwróciła się do chłopca o czarnych jak smoła, sterczących na cztery strony świata włosach, który z głową podpartą na ręce wpatrywał się w pochmurny krajobraz za oknem.

Zapytała z grzeczności. Wcale nie musiała tego robić. Ta ławka od dwóch lat była do niej przypisana i nawet jeżeli chłopiec nakazałby jej odejść, i tak wsunęłaby się na krzesło. Chcąc nie chcąc, byli na siebie skazani.

Była przekonana, że nowy się z nią przywita i zdradzi jej swoje imię, jednak ten ani myślał jej odpowiedzieć. Nawet nie odwrócił się w jej stronę. Całkowicie zlekceważył obecność Sophii. Nie czekając więc na jego zgodę, postanowiła zająć miejsce obok. Wyjęła z plecaka przybory do pisania i zeszyt, po czym w ciszy wyczekiwała pojawienia się nauczyciela w klasie.

\* \* \*

Chłopiec nie przejął się swoją towarzyszką, nawet nie zauważył, że ktoś się do niego dosiadł. Nie słyszał też słów, które do niego wypowiedziała. Wracał wspomnieniami do sinego ciała siostry, fioletowych ust i serca, które przestało bić, bo choć nie umiała pływać, wskoczyła za nim do jeziora Windermere, nad którym kilka miesięcy temu spędzali majowy weekend. Brak zainteresowania czymkolwiek, znudzenie i apatia – to akurat było normalne dla Ashera Ravencrofta. Stracił siostrę i nie radził sobie z bólem. W momencie, gdy trumnę przykryła warstwa ziemi, coś w nim umarło.

Przeprowadził się do Birmingham tydzień temu. Od śmierci siostry nie obchodziło go to, co działo się wokół. Nie dbał również o to, co przytrafiało się jemu. Wszystko stało mu się obojętne, pochłoneły go wyrzuty sumienia. Tamten majowy dzień zapoczątkował lawinę cierpienia. Zrujnował jego na pozór bez troskie dzieciństwo. Nie potrafił żyć jak rówieśnicy. Pisanie, czytanie, banalne działania na liczbach, to wszystko sprawiało mu nie lada trudność. Był bystry i pojmował znacznie więcej niż dzieci w jego wieku, ale nauka w szkole zwyczajnie go przerosła i przysporzyła mu niemałych problemów. Jego głowa stała się bardzo mrocznym miejscem – miejscem, do którego nie powinien się zapuszczać żaden siedmiolatek. W ciągu dnia walczył z przygnębiającymi myślami, które nie pozwalały mu na normalne funkcjonowanie. W nocy śnił koszmary o tym, jak topi się w jeziorze. Jego głowa płatała mu figle, doprowadzała go na skraj obłędu i nie pozwalała odpocząć. Od śmierci Daisy największy lęk

wzbudzał w nim zmierzch. Gdy całe miasto szykowało się do tego, by odplnąć w objęcia Morfeusza, Asher Ravencroft dzielnie walczył ze zmęczeniem, aby odwlec w czasie moment, kiedy przegra i jego głowa opadnie na miękką poduszkę. Walczył, ponieważ wiedział, co go czeka, gdy przymknie powieki. Co noc przerabiał to samo – dławił się wodą przez sen, krzyczał, wyciągał rękę ku opadającemu na dno bezwładnemu ciału siostry, a potem budził się, wykrzykując jej imię tak głośno, jakby wrzask miał moc, by sprowadzić ją z zaświatów.

Asher często tracił kontakt z rzeczywistością, gubił się w swoich myślach i pogrążał w cierpieniu. Nie miał nikogo. Został sam. Nikt nigdy nie przyszedł mu z pomocą. Bo kto niby miał mu podać pomocną dłoń i uwolnić go od potęgującego się w nim obrzydzenia do samego siebie? Tata, który go znienawidził, bo Daisy umarła, i bił pasem przy byle okazji? Mama, która ciągle spała, a jak nie spała, płakała? Jego brat, który wpełznął go do jeziora, bo chciał, żeby umarł? Jedyna osoba, która ratowałaby go niezależnie od wszystkiego, odeszła.

To, co wydarzyło się nad jeziorem, go zmieniło. Stracił swoją jedyną sojuszniczkę i ta tragedia sprawiła, że zgubił gdzieś samego siebie. Miał siedem lat, a codziennie marzył o śmierci. Tylko to przynosiło mu ulgę. Chciał trafić do miejsca, do którego trafiła jego siostra, ponieważ musiał ją przeprosić. Nie wierzył w Boga. Nie po tym wszystkim, co się stało, lecz gdyby spotkał Go po drugiej stronie, nie zawahałby się błagać, żeby zwrócił Daisy życie. *Niech zabierze sobie mnie, a ją odda* – często tak myślał. *Może wtedy mama nie będzie już płakać, a tata przestanie być na mnie zły.*

★ ★ ★

Nauczyciel nakazał dzieciom zapisać w zeszycie kilka prostych przykładów dodawania. Sophia zauważyła, że chłopiec nie wyciągnął nic z plecaka, tylko wciąż wpatrywał się w okno. Czowała, że coś jest z nim nie tak. Potrafiła czytać emocje i nastroje. Niewiele myśląc, wyrwała kartkę ze swojego zeszytu i zapisała na niej to samo, co wcześniej przepisała z tablicy, po czym podsunęła ją wraz z długopisem pod rękę chłopca. Nie chciała, żeby narobił sobie zaległości. Nie zamierzała go też denerwować i zasypywać pytaniami, czy wszystko w porządku, postanowiła, że zachęci go do notowania, ale nie zareagował. Przejęła się stanem kolegi z ławki, czego nie można było powiedzieć o nauczycielu. Zdawał się lekceważyć nietypo-

we zachowanie chłopca i dalej prowadził lekcję dla pozostałych uczniów. Sophia spędziła zatem czterdzieści minut na przepisywaniu działań z tablicy do swojego zeszytu i równocześnie robiła to samo na kartce, którą wcześniej wyrwała dla smutnego chłopca. Zamierzała mu ją dać, żeby w domu lub na przerwie mógł sobie to wszystko przepisać do swojego zeszytu. Nie chciała, żeby miał problemy tylko dlatego, że tego dnia czuł się nieco gorzej. Uważała, że każdy czasami ma prawo być nieszczęśliwy. Ona też często się smuciła, gdy nie widywała mamy przez długie miesiące.

Lekcja się zakończyła. Uczniowie wybiegli z klasy, chłopiec jednak wciąż tkwił w tej samej pozycji. Wpatrywał się w okno i sprawiał wrażenie, jakby dźwięk dzwonka sygnalizujący przerwę wcale nie dotarł do jego uszu.

W sali zostało ich tylko dwoje. Sophia czuła, że nie może go zostawić. Nie reagowała obojętnością na niepokojące zachowania rówieśników. Była empatyczną dziewczynką i pierwsza śpieszyła innym z pomocą. Postanowiła mieć chłopca na oku. Liczyła, że po jakimś czasie sam się przełamie i powie do niej ciche „cześć”, a ona wtedy radosnym głosem zakomunikuje, że nie musi się martwić o zadanie domowe i przykłady z lekcji.

Minęło pięć minut przerwy. Sophia zdążyła zjeść jedną z dwóch kanapek, które przygotował dla niej rano tata. Nie była smaczna, ale dziewczynka nie wybrzydzała. Druga z kanapek leżała nietknięta w otwartej śniadaniówce pomiędzy Sophią a Asherem, na wypadek gdyby chłopak zgłodniał i zechciał się poczęstować. Dziewczynka miała cichą nadzieję, że tą próbą przekupstwa przekona do siebie zamyślonego kolegę, choć kanapki przygotowane przez jej tatę nie pachniały ani trochę zachęcająco.

Ale to nie kanapki wyrwały go z zamyślenia.

\* \* \*

*Mała księżniczka* Frances Hodgson Burnett uderzyła o drewniany stolik, robiąc przy tym niewielki hałas. Ponieważ w klasie panowała cisza, ten dźwięk zwrócił uwagę Ashera i wyrwał go z transu, w którym chłopiec trwał od dobrych pięćdziesięciu minut. Jak oparzony odwrócił się od okna, a gdy to zrobił, napotkał najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widział. Było w nich tyle serdeczności i spokoju, że nie potrafił przerwać kontaktu wzrokowego. Poczł dziwnie znajomy komfort, którego doświadczał jedynie, gdy siostra patrzyła na niego z rozbawieniem podczas wspólnych wygłupów. Mimo że Daisy od miesiący była martwa, a jej brązowe tęczęwki

nigdy nie przypominały dwóch szmaragdów, gdy wpatrywał się w oczy nieznajomej, odnosił wrażenie, że jego siostra jednak tu jest.

– Cześć, jestem Sophia. – Dziewczynka uśmiechnęła się nieśmiało. – Przepraszam za ten hałas. To przez książkę. – Skinęła głową w stronę ławki, na której leżała *Mała księżniczka*.

Asher niechętnie powędrował tam wzrokiem, a gdy dostrzegł tytuł, wytrzeszczył oczy.

Znał tę książkę. Znał aż za dobrze. W mgnieniu oka rozpoznał okładkę i autorkę, po czym rozpoczął walkę z samym sobą, aby nie rozplakać się przy nieznajomej.

To była bardzo popularna lektura wśród dziewczynek w wieku Sophii. Jego siostra też ją lubiła. Dostała ją od mamy na ósme urodziny. W maju, na kilka dni przed swoją śmiercią, czytała ją na hamaku, który wraz z młodszym bratem zawiesiła pomiędzy dwoma drzewami w ogrodzie na tyłach domu. Chłopiec zawsze pakował się na hamak, układał wygodnie u jej boku, a ona czytała na głos. Nie miał nic przeciwko słuchaniu o życiu księżniczki z wyższych sfer. Nie, gdy obok leżała Daisy, przy której czuł się bezpiecznie. Tuląc się do niej i wsłuchując się w jej kojący głos, był niepodważalnie szczęśliwy.

Smutek, tęsknota i żal, które go ogarnęły, szybko przerodziły się w złość. Pod wpływem impulsu pochwycił książkę w dłonie i zaczął ją niszczyć. Wyrwał stronę po stronie, nie zważając na reakcję właścicielki.

\* \* \*

Sophia milczała. Pozwoliła chłopcu zniszczyć jej własność. Nie przerwała mu, nie zareagowała w żaden sposób. Jego wybuchowe zachowanie wprowadziło ją w stan osłupienia. Przecież nie zrobiła nic, co mogłoby go urazić. Rzadko widywała w czyichś oczach tyle gniewu. Zdarzało się to tylko wtedy, gdy była świadkiem kłótni swoich rodziców.

Kiedy chłopiec skończył swoje niszczycielskie dzieło, wyglądał, jakby miał się rozplakać.

– Nie przejmuj się. Czytałam ją milion razy. Zakończenie znam na pamięć, więc nie jest mi przykro – powiedziała łagodnie, nie spuszcżając wzroku z roztrzęsionego kolegi z ławki. – Nie jestem zła.

Po chwili wstała z miejsca i zaczęła pośpiesznie wpychać do brokatowego plecaka porzrucane wokół ławki kartki.

Tamtego dnia obiecała sobie, że spróbuje się zaprzyjaźnić z czarnowłosym chłopcem z ławki, żeby mu pomóc. Wydawał się taki smutny i zagubiony.

\* \* \*

Już w pierwszym tygodniu zajęć Sophia zauważyła, że Asher ma spore problemy z nauką. Dlatego po powrocie do domu odrabiała lekcje z ukochaną gospożą Mary Anne, a później przepisywała rozwiązania na osobną kartkę, którą nazajutrz wręczała Asherowi, wcześniej przywitawszy go uśmiechem. Nigdy jej nie podziękował. Nigdy też nie przeprosił za książkę. Ale ona tego nie oczekiwała.

Nie rozmawiał z nią. Z nikim nie rozmawiał. Wszyscy w klasie od niego uciekali i nazywali go dziwakiem. Był milczący i zdarzało się, że nie odpowiadał nawet na pytania nauczyciela. Mimo to Sophia opowiadała mu o książkach, które ostatnio przeczytała, oraz dzieliła się z nim wypiekami Mary Anne, które, o dziwo, chętnie przyjmował. Za każdym razem, gdy chłopak bez większej zachęty sięgał do jej śniadaniówki, czuła, że robią postępy.

\* \* \*

Tak właśnie było. Poczynili postępy. Mimo że Asher nie rozmawiał z Sophią, to gdy budził się z nocnego koszmaru i nie mógł się uspokoić, przywoływał wspomnienie jej zielonych oczu. Nedorzecznie realistyczny obraz twarzy Sophii Carter pozwalał mu oprzytomnieć. Dobro w jej oczach, empatia i szczerść pomagały uciszyć głosik, który nakazywał mu wierzyć, że przynosi wyłącznie śmierć.

Przewracając się z boku na bok w swoim łóżku, dręczony przez niepokój, wracał myślą do sąsiadki z ławki. Z utęsknieniem wyczekiwał następnego spotkania z Sophią. Pokochał jej głos, jej wielkie zielone oczy i serdeczny uśmiech. Była ucieleśnieniem dobroci, czuł, że na nią nie zasługiwał, lecz nie potrafił trzymać się od niej z daleka. Chciał jej na wyłączność i schlebiało mu, że tylko on w klasie cieszył się jej uwagą. Nie zamierzał się do niej przywiązywać, ale było już na to za późno. Uparta i niezwykle gadatliwa koleżanka z ławki na dobre zagościła w jego głowie i swoją niezłomnością utarowała sobie drogę do jego złamanego serca.

Asher wiedział, że nie powinien być na to pozwolić. Sophia Carter nigdy nie powinna była tak bardzo się do niego zbliżyć. Nie, bo to oznaczało dla niej śmierć. Wciąż wierzył, że jest przeklęty i kontakt z nim ją zabije. Po przeprowadzce trafił wraz ze starszym bratem do tej samej szkoły. Miał ponure przeczucie, że Nathan zechce mu ją odebrać, gdy zauważy, jak mocno zakorzeniła się w jego myślach. Tak bardzo ją pokochał, że dla jej dobra musiał zniszczyć to, co się między nimi zrodziło. A sposób na to, żeby odstraszyć dziewczynkę, był tylko jeden – musiał sprawić, żeby go znienawidziła. Dlatego na początku listopada wsunął do jej plecaka medalik, który był jego jedyną pamiątką po zmarłej siostrze, i oskarżył ją przy nauczycielu o kradzież. Oskarżył o to jedyną osobę w klasie, która chciała się z nim przyjaźnić. A potem powiedział jej prosto w twarz, że zrobił to celowo, by w końcu się od niego odczepiła.

Od tamtego feralnego listopadowego dnia Sophia dzieliła ławkę z Florence Chatterton. Gdy odwracała głowę w kierunku ławki na końcu klasy, w której siedział w odosobnieniu od reszty grupy Asher, robiła to tylko po to, by posłać mu spojrzenie pełne nienawiści. Chłopak codziennie na to czekał. Potrafili tak mierzyć się wzrokiem przez długie minuty. Ona przelewała na niego swój żal, a on chłodem i obojętnością maskował tęsknotę za dziewczynką, która sprawiła, że pierwszy raz od śmierci siostry poczuł się lepiej.

\* \* \*

Sophia przyrzekła sobie, że nigdy nie wybaczy Asherowi tego, jak okrutnie ją potraktował. Nie chciała widzieć w nim wroga, jednak swoim podłym zachowaniem sprawił, że właśnie tak zaczęła go postrzegać.

Nie znienawidziła go z dnia na dzień. To nie przyszło od razu. Z początku nie potrafiła zrozumieć, dlaczego postąpił tak, jak postąpił, i próbowała to sobie jakoś wytłumaczyć. Skreśliła go dopiero, gdy dorosła i przestała usilnie doszukiwać się piękna w jego zgniłym wnętrzu. Gdy zrozumiała, jak okrutne i bezwzględne zasady rządzą światem, oraz pojęła, że ludzie potrafią być zepsuci od urodzenia, przyznała sama przed sobą, że nienawidzi Ashera Ravencrofta.

## Niech żyją pozory

### Sophia

Otwieram oczy i pierwsze, co odczuwam po przebudzeniu, to nieznośna suchość w ustach. Jestem odwodniona. Zanim jednak podnoszę się z materaca, aby powędrować do kuchni po szklankę wody, szukam po omacku zakopanego w pościeli telefonu w celu skontrolowania godziny. Chwilę to trwa, ale w końcu namierzam urządzenie.

Niemożliwe, żeby nastąpiła już noc. Odcięłam się od świata grubymi, ciemnymi zasłonami, ale przedzierają się przez nie strużki światła, co oznacza, że dzień jeszcze nie ma się ku końcowi.

Nie cierpię się budzić w ciągu dnia. Wolę otwierać oczy, gdy za oknem zachodzi słońce lub panuje całkowita ciemność. Odkąd dwa miesiące temu zamknęłam się w pustym domu i odizolowałam od wszystkiego i wszystkich, żyłam właśnie tak. Po dosłownie tygodniu zaczęło mi przeszkadzać światło dzienne, uznałam więc, że będę spać w dzień, a w nocy snułam się bez celu po pustym domu – czasami trzeźwa i boleśnie świadoma swojej niedoli, czasami z butelką wina w dłoni, równie mocno przekonana o bezsensie swojego istnienia.

Izolacja popchnęła mnie do szukania sposobu, żeby w końcu odwalić się od samej siebie – metody innej niż upijanie się do nieprzytomności, która równie skutecznie uciszyłaby natrętne głosy w mojej głowie. I znalazłam to coś. Dodatkowo spalałam dzięki temu prawie czterysta kalorii w godzinę. Zaczęłam pływać, choć wcześniej nie rozumiałam fenomenu tego sportu. Pojęłam, na czym polega, gdy po morderczym wysiłku pozwałałam swojemu ciału dryfować na powierzchni. Wpatrywałam się wtedy

w gwiazdy i fantazjowałam o tym, że oddalam się w nicość. A moja głowa? Było w niej podejrzenie cicho.

Jak nie w basenie na tyłach domu, to można było mnie znaleźć w łóżku. Dużo spałam. Zdarzało mi się spać nawet po czternaście godzin ciągiem, co w trakcie roku szkolnego było moim niespełnionym marzeniem. Po przebudzeniu potrafiłam wpatrywać się tępo w jeden punkt przez kilka godzin. Nie wierciłam się w łóżku, nie zmieniałam pozycji na wygodniejszą, gdy mięśnie rąk i nóg drętwiały mi od leżenia godzinami na jednym boku. Po prostu wpatrywałam się w ścianę. Leżałam jak sparaliżowana, a przez moją głowę przetaczały się miliony myśli – destrukcyjnych myśli. Soph sprzed roku, bezlitosna wobec siebie i nieznosząca okazywania słabości, dałaby mi za to w twarz.

Często leżąc tak wypruta z energii, niezdolna zdobyć się chociażby na kiwnięcie palcem, zastanawiałam się, jak doprowadziłam do tego, że moje życie wygląda właśnie tak. Próbowałam wytłumaczyć sobie mój dziwny stan. Podejmowałam próby odszukania w przeszłości momentu, który sprawił, że znalazłam się na dnie, i odpowiedź na to pytanie zawsze była ta sama – wszystko sprowadzało się do odejścia mojej matki. Odkąd we wrześniu zeszłego roku poznałam prawdę o jej podwójnym życiu, nie potrafiłam spojrzeć na siebie inaczej niż jak na pomyłkę. Coś nieplanowanego. Coś, co nigdy nie miało racji bytu.

Moja matka najpierw mną gardziła, a gdy stale ją zawodziłam, po prostu zaczęła mieć mnie gdzieś. Tkwiła w relacji, której nie chciała, dopóki jej się to opłacało. Jest politykiem. Piekielnie inteligentnym i bezwzględnym. Nie mogła tak po prostu zerwać ze swoim dawnym życiem i odejść do mężczyzny, którego, jak się okazało, kochała od czasów studiów i z którym romansowała od lat. To wzbudziłoby zbyt wiele kontrowersji i mogłaby przez to stracić potencjalnych wyborców. Gdyby społeczność okręgu West Midlands pojęła, że idealne życie Fallon Carter – a w zasadzie Langford, bo prędko wróciła do swojego dawnego nazwiska, odcinając się od nas także w ten sposób – i konserwatywne wartości, które tak przekonująco głosiła, to zwykła ściema, matka byłaby skończona. W trakcie trwania kampanii wyborczej kreowała się na osobę, dla której nadrzędną wartość stanowiła rodzina, i nagły rozpad małżeństwa byłby zaprzeczeniem głoszonych przez nią idei. Dlatego uzbroidła się w cierpliwość, zaczęła na idealny moment i gdy została burmistrzem, wręczyła ojcu papiery rozwodowe.

Podciągam się na łokciach do pozycji siedzącej, po czym uderzam palcem w ekran telefonu. Mrużę oczy, bo oślepia mnie jasne, agresywne światło z wyświetlacza. Potrzebuję chwili, zanim odczytuję godzinę. Szesnasta czterdzieści siedem.

Wzdycham niezadowolona i chcę rzucić telefonem w pościel, lecz na ekranie ze zbitą szybkością wyświetla się powiadomienie o SMS-ie od taty. Odblokowuję urządzenie i wchodzę w konwersację z ojcem. Szybko jednak zaczynam tego żałować.

**Tata:**

Wybacz, skarbie, że daję Ci o tym znać w taki sposób, lecz czas mnie goni. Postanowiłem przyspieszyć swój powrót do Birmingham i dzisiaj o 20:00 zjemy kolację z jednym z moich klientów. Wiem, wiem, nienawidzisz tych spotkań, ale zrób to dla starego ojca. Bądź gotowa pół godziny wcześniej. Wyślę po Ciebie Andrew. Nie mogę się doczekać, kiedy znowu Cię zobaczę. Nawet nie wiesz, jak bardzo się za Tobą stęskniłem. Kocham Cię.

Wytrzeszczam oczy. Jak to ojciec wraca dzisiaj? Przecież mamy piątek, miał wrócić w poniedziałek, w dniu rozpoczęcia roku szkolnego. Zestresowana odpisuję.

**Sophia:**

Będę gotowa. Cieszę się, że cię zobaczę. Widzimy się o 20:00.

Zgadzam się, ponieważ nie mam wyboru. Odzwyczaiałam się od przebywania między ludźmi, ale nie chcę sprawiać mu przykrości swoją odmową. Poza tym nie widziałam go przez bite dwa miesiące. Mam zamiar go wyściskać i skarcić za to, że znowu rzucił się w wir pracy, zapominając o bożym świecie. Nie przypuszczałam, że może mi tak bardzo brakować jego obecności. Przywykłam do tego, że często nie ma go w domu, ponieważ jest w ciągłych rozjazdach pomiędzy Birmingham a Londynem, gdzie mieści się główna siedziba jego kancelarii. Rozłąka uświadomiła mi jednak, jak ważną rolę odgrywa w moim życiu, nawet jeżeli nasza relacja nie wygląda idealnie i na co dzień, pochłonięci swoimi sprawami, tylko pośpiesznie mijajmy się w korytarzu jak zwykli współlokatorzy.

Uderzam plecami o materac i zaczynam tworzyć w głowie plan odgruzowania samej siebie. Nawet dom jest w lepszym stanie ode mnie, choć

jeszcze kilka dni temu wyglądał bardzo niereprezentacyjnie. Na meblach zalegała kilkucentymetrowa warstwa kurzu, na marmurowej posadzce widniały zaschnięte plamy po rozlanym alkoholu, największa, czerwona, znajdowała się na śnieżnobiałym dywanie w salonie. Była pamiątką po tym, jak w środku nocy kompletnie pijana krążyłam po domu z butelką czerwonego wina w dłoni. Całe szczęście, że na początku tygodnia obudziłam się z silną potrzebą posprzątania tego bajzlu, jakiego narobiłam. Zmotywował mnie do tego rychły powrót ojca i Mary. Nie mogli tego zobaczyć.

W ciągu wakacji posiadłością miała się opiekować Mary Anne – nasza niezastąpiona gosposia – ale bez wiedzy taty tuż po końcu roku szkolnego dałam jej wolne, stanowczym tonem nakazując odwiedzić córkę i wnuki w Manchesterze. Osobiście odwoziłam ją na dworzec, ucałowałam i poprosiłam, by pozdrowiła ode mnie i ojca całą swoją rodzinę. Zapewniłam, że propozycja urlopu dla niej wyszła od taty oraz że mimo nieobecności będzie otrzymywała wynagrodzenie. Gdy zapytała o moje plany, skłamałam, że zapisałam się na wyjazdowy kurs językowy w Dortmundzie. Łyknęła to. Poprosiłam, by nie kontaktowała się z ojcem, bo „jest bardzo zajęty”, a potem pomachałam jej na pożegnanie, gdy szczęśliwa odjeżdżała pociągiem w stronę Manchesteru.

Nie żałuję tego, że ją okłamałam, choć tydzień temu uświadomiłam sobie, że mój plan pozyskania domu dla siebie i samotnego spędzenia wakacji miał mankamenty, o których wcześniej nie myślałam. Jeżeli tata i Mary zaczną rozmawiać o tym, co się działo podczas ostatnich dwóch miesięcy, będę spalona. Pozostaje mi żyć nadzieją, że mój zapracowany ojciec nie będzie miał czasu na pogaduszki, albo planować swój własny pogrzeb, bo gdy dowie się o mojej intrydze, czeka mnie szybka śmierć.

Stwierdzam, że najwyższa pora coś ze sobą zrobić, i pierwszym punktem w moim planie doprowadzenia się do porządku jest wzięcie kąpieli. Nie wiem, ile czasu minęło od ostatniej. Dwa dni, a może pełny tydzień? Jedno jest pewne, zbyt dużo, ponieważ gdy pociągam nosem, czuję, że śmierdzę. Nie przeszkadza mi to, przyzwyczaiałam się do gryzącego zapachu potu, ale jestem pewna, że ludziom w restauracji i tacie będzie to przeszkadzać. I to bardzo. Kiedyś nie rozumiałam, jak niektórzy mogą nie dbać o higienę i w jednym dresie spędzać po kilka czy kilkanaście dni w łóżku. Pojęłam to dopiero wtedy, gdy sama nie byłam zdolna do tego, by wstać, wziąć prysznic czy umyć zęby.

Wyzuta z energii zwlekam się z materaca i stawiam nogi na miękkim dywaniku. Zaczyna mi się niebezpiecznie kręcić w głowie, a przed oczami mam mroczki. Tracę równowagę i upadam z powrotem na łóżko. Od jakiegoś czasu dzieje się tak, gdy za szybko wstaję. Doskonale wiem, co za tym stoi. Dzisiaj jeszcze niczego nie miałam w ustach, mój żołądek świeci pustkami.

Podjęmuję drugą próbę. Tym razem podnoszę się nieco wolniej. Udało się. Niechętnie ruszam w stronę łazienki, uważając, żeby nie potknąć się o własne nogi.

Wiem, co zobaczę, gdy spojrzę w lustro. Jestem gotowa na spotkanie z najgorszą wersją siebie. To takie żałosne, że umycie się stanowi dla mnie czynność porównywalną do przeniesienia góry. A to dlatego, że muszę się rozebrać i popatrzeć na swoje ciało.

Wchodzę do pomieszczenia i zerkam na siebie. Nienaturalnie blada twarz o ostrych rysach. Spierzchnięte usta. Ciemne, potargane, tłuste włosy sterczące na cztery strony świata. Puste, pozbawione życia spojrzenie. Tak właśnie wyglądałam. Obraz nędzy i rozpacz.

Decyduję się ściągnąć bluzę i spodnie dresowe. Wrzucam je wraz z bielizną do kosza na pranie. Nie wiem dokładnie, jak długo miałam na sobie ten dres, kilka dni, a może kilka tygodni?

Przyglądam się swojemu nagiemu ciału. Pierwszy raz od dawna znajduję w sobie na tyle odwagi, by poddać analizie każdy jego fragment. Nie dowierzam w to, co widzę.

*Czy to ja? Ja naprawdę tak wyglądam?*

Ta dziewczyna przede mną... Czuję się, jakbym była w obcym ciele. *To nie ja. To nie mogę być ja.*

Jestem szczuplejsza niż przed rozpoczęciem przerwy letniej. Moje ramiona i nogi znacznie się wysmukliły. To samo mogę powiedzieć o brzuchu, ponieważ pierwszy raz dostrzegam u siebie tak ostre wcięcie w talii. Piersi również znacznie się zmniejszyły, a zaraz pod nimi pod skórą widać kilka żeber.

Oszołomiona unoszę rękę i dotykam opuszkami palców wystających kości obojczykowych. Nic dziwnego, że nie zauważyłam tych zmian, skoro całe wakacje spędziłam w dresie, a kiedy już zmuszałam się do wzięcia kąpieli, omijałam wzrokiem lustro, bo tak sobą gardziłam. Choć to, że od miesiąca związywałam w pasie spodnie dresowe, aby nie spadały z bioder, mogło dać mi do myślenia.

Schudłam. W końcu schudłam.

*Taka bym ci odpowiadała, mamo? To by wystarczyło, żebyś nie patrzyła na mnie jak na największą porażkę w swoim życiu?*

Tylko że jest już za późno. Bo ona odeszła.

Nie mogę się pozbyć myśli, że może gdybym bardziej się starała sprostać oczekiwaniom matki, to nie porzuciłaby mnie z dnia na dzień i pozwoliłaby sobie mnie pokochać. Może przynajmniej by spróbowała, widząc, że wyglądam w końcu tak, jak zawsze chciała.

Czasami myślę, że nigdy nie zbudowałyśmy ze sobą lepszej relacji, bo ona nie potrafiła mnie zaakceptować. Przeszkadzały jej mój nieidealny wygląd, nadprogramowe kilogramy i fakt, że nie przywiązywałam większej wagi do tego, czy mam na sobie modne ubrania, czy zwykłą, przydługą bluzę z kapturem. Nie starałam się tak, jak powinnam. Próbowałam, na pewnym etapie stawiałam na rzesach, by ją zadowolić, katowałam się dietami, chodziłam do najlepszych fryzjerów, nauczyłam się nawet robić ładny makijaż dopasowany do mojego typu urody, ale to okazało się niewystarczające. Ja byłam dla niej niewystarczająca. I to nie tylko w aspekcie wyglądu. Nie raz dała mi odczuć, że powinnam bardziej przyłożyć się do nauki, choć co roku osiągałam jedne z najwyższych wyników w klasie.

Może gdybym faktycznie wcześniej się za siebie wzięła, popracowała nieco nad swoim wyglądem, wytrwała na jednej z diet, do których notorycznie mnie zmuszała, gdy byłam młodsza, to nie zerwałaby ze mną kontaktu, nie odcięłaby się na dobre, zupełnie tak, jakby te lata spędzone razem nic dla niej nie znaczyły – jakby nigdy mnie nie urodziła, jakbym nigdy nie istniała.

Moim największym przekleństwem od zawsze było to, że całe życie zabiegałam o akceptację i miłość osoby, która powinna kochać mnie bezwarunkowo. A ona tamtego okropnego dnia, który za wszelką cenę pragnę wymazać z pamięci, powiedziała mi prosto w twarz prawdę, która po dziś dzień odbija się echem w mojej głowie, prześladowając mnie dniami i nocami. Stojąc z walizkami w progu drzwi, zatopiła ostrze w moim sercu i niewzruszona patrzyła, jak wykrwawiam się z bólu na jej oczach. Beznamiętnym tonem, bez grama skruchy w głosie, oznajmiła, że życie ze mną i moim ojcem jest dla niej więzieniem i okradamy ją z szansy na szczęście. Złamała mnie tymi słowami. Przestała udawać i potwierdziła podejrzenia, których nabrałam lata wcześniej – w jej życiu nigdy nie było

dla mnie miejsca. Przez większość swojego życia bałam się, że matka kiedyś pęknie i w końcu się do tego przyzna, a gdy ten dzień nadszedł, zabiła bardziej niż podłogi, które regularnie kierowała pod moim adresem. Miłość to przekleństwo, ale brak miłości ze strony matki to prawdziwa agonia, przynosząca ból, który nigdy nie ustaje.

W przeciągu roku, który minął od odejścia matki, w końcu straciłam na wadze. Przez okres kilku miesięcy gubiłam regularnie kilogram za kilogramem. Niecelowo rzecz jasna, dlatego minęło trochę czasu, zanim dostrzegłam w sobie zmianę.

Rozpoczęło się od tego, że z powodu przygnębienia straciłam apetyt. Moi rodzice byli w trakcie rozwodu, a ja tak bardzo przeżywałam nową dla mnie sytuację, w której się znalazłam, że zdrowe odżywianie się wypadło z listy moich priorytetów. Zapominałam o posiłkach, jedzenie stawało mi w gardle. Przestałam odczuwać głód, bo jedyne, co wtedy czułam, to żal i niemoc. Po kilku miesiącach skutki niejedzenia zaczęły być widoczne, a parę osób z mojego bliskiego otoczenia skomentowało moją zmianę. Zauważył ją nawet tata, który od czasu rozwodu rzadko bywał w domu, ponieważ uciekł w pracę. Pracoholizm był jego sposobem na stres związany z rozpadem małżeństwa.

W połowie maja, zaalarmowany zmianą w moim wyglądzie, zaczął zapytywać mnie naprawdę męczącymi pytaniami. Dociekał, czy jem normalnie, i nakazał Mary mieć na mnie oko. Starał się wracać do domu w porze kolacji, aby usiąść ze mną do posiłku, który zostawiała dla nas gospościa, i na własne oczy się przekonać, że nie migam się od jedzenia. Uspokajały go widok mnie przy stole w naszej jadalni i moje zapewnienia, że o siebie dbam i jem. Ale to były tylko pozory – pozory, które utrzymywałam, żeby go nie zranić. Prawda była taka, że potrafiłam nie jeść nic przez cały dzień, a wieczorem usiąść z nim do kolacji i odegrać rolę wzorowej, odpowiedzialnej córki. Byłam w stanie mu wmówić, że wszystko jest ze mną w jak najlepszym porządku, a jego obawy co do stanu mojego zdrowia są całkowicie bezpodstawne. Zresztą nie byłam chora. To, że zrzuciłam kilka nadmiarowych kilogramów, sprawiło, że poczułam się trochę mniej beznadziejna.

W ciągu ostatniego roku byłam swoim największym wrogiem. Wciąż nim jestem. Od zawsze nie znoszę swojego charakteru, tego, że jestem nudna, introwertyczna i spędzanie czasu wśród ludzi szybko wyczerpuje

moje baterie. Całe życie byłam tą małomówną i niczym niewyróżniającą się koleżanką z klasy, na którą nikt nie zwracał większej uwagi. Przyzwyczaiałam się do tego, że pozostaję ukryta w cieniu. Moje przyjaciółki zawsze były w centrum uwagi, miały rzesze adoratorów, a ja stałam z boku. Nieatrakcyjna, nieciekawa i za gruba – o czym nie dawała mi zapomnieć matka.

W mojej głowie znowu jest głośno.

*W końcu jesteś wystarczająca?*

Odpowiedź przychodzi natychmiastowo.

*Nie dość perfekcyjna, by zadowolić matkę.*

Nie płakałam od miesięcy. Myślałam, że jestem wypruta z emocji, niezdolna do odczuwania czegoś innego poza towarzyszącą mi wiernie pustką. Jednak w tej chwili, gdy patrzę na swoje ciało, łzy mimowolnie napływają mi do oczu, po czym spływają po policzkach, zostawiając na nich mokre ślady. Płacę, ponieważ wiem, że na tym się nie skończy. Dziewczyna, którą właśnie zobaczyłam w lustrze, zmotywowała mnie do walki w imię perfekcji.

Może gdybym schudła jeszcze pięć kilogramów, to stałabym się ideałem, o którym zawsze marzyła moja matka? Kimś, kogo z dumą widziałaby obok siebie podczas wystąpień publicznych i nazywała swoją córką.

Muszę być twarda. Żadnych emocji. *To wszystko pogorszy* – upominam samą siebie. Zaciskam zęby i posyłam swojemu odbiciu w lustrze karzące spojrzenie.

*Ogarnij się. Masz dzisiaj coś do zrobienia i lepiej, żebyś tego nie spieprzyła.*

Podchodzę do ozdobnej wanny i odkręcam kurek. Gdy jestem już gotowa postawić w niej stopę i zanurzyć ciało w kojąco ciepłej wodzie, moim oczom ukazuje się stojąca na blacie przy umywalce do połowy pełna butelka wina. Stoi tam i się do mnie wdzięczy, kusząc wizją odprężenia i ukojenia smutków.

Może to nie najlepszy pomysł pić alkohol na pusty żołądek, ale szybko do mnie dociera, że nie przeżyję dzisiejszego wieczoru bez małej pomocy. Nie czuję się gotowa, żeby wrócić między ludzi. Miesiące izolacji sprawiły, że stałam się jeszcze bardziej aspołeczna niż wcześniej. Na samą myśl o przebywaniu w zatłoczonej restauracji dopada mnie lęk. Wiem, że obleje mnie fala zimnego potu, moje dłonie zaczną się niekontrolowanie trząść i będę się jąkać, udzielając odpowiedzi na najprostsze pytania. Dlatego

muszę się trochę zrelaksować, aby wejść w rolę idealnej do porzygu córki, którą zdecydowanie nie jestem, a którą na potrzeby jakiejś bzdurnej kolacji z klientem ojca muszę się na moment stać.

– Niech żyją pozory – mówię do siebie i pociągam łyk wina bezpośrednio z butelki.

\* \* \*

Przyglądałam się temu, co udało mi się osiągnąć. Od dawna moja skóra nie wyglądała tak promiennie. Jednak dobre kosmetyki potrafią zdziałać cuda. Nikt nie będzie podejrzewał, że to zwykłe oszustwo, choć wacik i odrobina płynu do demakijażu mogłyby mnie zdemaskować – wszyscy zobaczyliby suchą, siną cerę i wielkie cienie pod oczami. Rozsmarowując podkład na twarzy i próbując ukryć swój odrażający stan, wyglądałam niczym Megan Fox w filmie *Jennifer's Body*. Czułam się też dokładnie jak tytułowa Jennifer – pozbawiona chęci do życia, martwa w środku... a przede wszystkim głodna.

Okiełznałam burzę niesfornych, skołtunionych włosów. Umyłam je, po czym nałożyłam na nie chyba z tonę specyfików do pielęgnacji. Odpuściłam prostownicę, ponieważ odblokowałam w sobie nowy lęk. Pewnej nocy natchnęło mnie, żeby rozczesać włosy. Szybko tego pożałowałam, gdy spomiędzy plastikowych ząbków szczotki wyciągnęłam gęste, długie kruczoczarne pasmo.

Wzdrygam się przez to wspomnienie i jak najszybciej spycham je w najdalsze zakamarki umysłu.

Największe wyzwanie stanowi dla mnie dobór odpowiedniego stroju. Kolacje, bankiety, wiece wyborcze czy bale, w których od dziecka brałam udział, nauczyły mnie przywiązywać do tego wagę. Matka zawsze mi powtarzała, że dobrze dobrana stylizacja z brzydkiego kaczątka może zrobić łabędzia. Gdy masz na sobie drogą suknię i wysoko unosisz głowę, to ludzie z góry zakładają, że jesteś kimś wartym uwagi.

*Sztuczna i nieszczęśliwa, lecz piękna – ostatecznie liczy się tylko wygląd, nie to, co czujesz.*

Zależy mi na tym, aby ojciec nie musiał się za mnie publicznie wstydić. Poza tym odpowiednie ubrania, w których wyglądam dobrze, sprawiają, że nie czuję się jak wystraszona owca rzucona wilkom na pożarcie. To znacznie ułatwia utrzymywanie udawanej pewności siebie. Tak, jestem

oszustką. Żadna nowość, ale kto tak nie robi. Od lat wyznaję zasadę *fake it, till you make it* i jeszcze się na tym nie przejechałam.

Pozory od lat pozwalają mi przetrwać. Maski, które zakładam raz po raz, pomagają mi ukryć moje słabości oraz zamykają ludziom usta. Pozory to tarcza, ponieważ im mniej ludzie wiedzą, tym mniej są w stanie zrujnować. W środowisku, w którym dorastałam, lepiej nie ujawniać swoich słabych stron, bo wszyscy ci „ludzie sukcesu” karmią się porażkami innych.

Wychodzę z łazienki i w bojowym nastroju zmierzam w kierunku swojej garderoby. Gdy tam docieram, zaczynam przeglądać zawieszona na wieszakach eleganckie sukienki. Od razu odkładam na bok te, które mogą się nadać na dzisiejszą okazję. Ma być elegancko, z klasą, ale nie tak, jakbym wybierała się na galę rozdania Oscarów czy jakąś Met Galę. Na puchatym dywaniku zaczyna się tworzyć mały stosik złożony z sukienek, więc zaprzestaję poszukiwań i zaczynam mierzyć to, co udało mi się wybrać.

Wszystkie kiecki, jedna za drugą, łądują w kącie. Jeszcze kilka miesięcy temu były idealne, teraz żadna z nich na mnie nie pasuje. Układają się źle, materiał brzydko odstaje w talii i nie przylega do pleców tak, jak powinien. Każda z nich wisi na mnie niczym worek. Nie wygląda to dobrze i jestem tym faktem załamana.

W co ja mam się, do cholery, ubrać? Przecież w dresie nie pójdę.

Panikuję. Zaczyna mi się robić gorąco. Nie wiem, czy to przez fakt, że nie potrafię znaleźć niczego, co mogłabym włożyć na dzisiejszy wieczór, czy winny jest alkohol krążący w mojej krwi. Prawdopodobnie jedno i drugie nie pozostaje bez znaczenia.

Nie zamierzam się jednak tak łatwo poddać. Makijaż, włosy, po co ja to wszystko robiłam? Zmusiłam się do tego, by zwlec się z łóżka, żeby teraz napisać do ojca: „Sorry, nie dam rady. We wszystkim wyglądam jak ofiara losu”?

*Po moim trupie.*

Nieco bardziej energicznie zaczynam przegrzebywać zawartość garderoby i w końcu rzuca mi się w oczy czarna, nieco bardziej przylegająca do ciała sukienka z długim rękawem. To nie może się nie udać, dlatego pośpiesznie wciągam ją na siebie. Przez to, że jest wykonana z miękkiego, elastycznego materiału, nie odstaje, tylko ładnie opina moje ciało. Długość też jest adekwatna do okazji, gdyż materiał sięga mi do połowy ud. O to chodziło. Zarzucam na siebie jeszcze czarną marynarkę, która teraz

wygląda na mnie bardziej jak marynarka o kroju oversize niż standardowa. Nie przejmuję się tym. Nic lepszego na dzisiaj nie wymyślę. Wkładam na stopy wysokie czarne szpilki i chyba jestem już gotowa.

Sprawdzam godzinę w telefonie.

Dziewiętnasta dwadzieścia osiem.

*Wyrobiłam się. I nie wyglądam jak straszycło. Fantastycznie.*

## Wyglądasz jak duch

### Sophia

Kierowca taty, Andrew, zaraz tutaj będzie, dlatego wyciągam z szafy czarną kopertówkę i zakładam jeszcze złotą biżuterię, aby przełamać nieco tę czerń, która okrywa moje ciało od stóp do głów. Wrzucam do torebki klucze i telefon, po czym dopijam resztkę wina i kieruję się do wyjścia. Schodząc po schodach, przytrzymuję się poręczy, ponieważ nie ufam sobie w tych butach. Potrafię się wypieprzyć na prostej drodze, mając na sobie zwykłe conversy, a co dopiero w dziesięciocentymetrowych szpilkach.

Gdy tylko zauważam na podjeździe przed domem czarnego mercedesa, którym wozi się ojciec, biegnę do kierowcy taty. Na widok Andrew opierającego się o drzwi samochodu, uśmiech sam ciśnie mi się na usta.

– Andrew! Jak leci?

– Spokojnie, bo się panienka zaraz wywróci. – Spogląda wymownie na moje buty.

– Jak widać, panuję nad sytuacją, ale to kochane, że tak się martwisz. – Puszczam do niego oczko i otwieram tylne drzwi, mając nadzieję, że tata już tam na mnie czeka.

Tylne siedzenia ku mojemu rozczarowaniu świecą pustkami.

– Gdzie ojciec? Myślałam, że to ty przywoziłeś go z Londynu – nie kryję zdziwienia.

– Pan Carter postanowił skorzystać z uprzejmości swojego klienta i wrócił do Birmingham w jego towarzystwie. Ale bez obaw, już czeka w restauracji. Ja otrzymałem polecenie, aby dostarczyć panienkę pod same drzwi Adam's.

– Czyli kolacja odbywa się w Adam’s – mówię bardziej do siebie niż do Andrew.

– W rzeczy samej – potwierdza, podchodząc do drzwi, i skinieniem głowy zachęca mnie do usadowienia się z tyłu.

Adam’s to najbardziej ekskluzywny lokal w centrum Birmingham. To oczywiste, że jedziemy właśnie tam. Jest jedną z ulubionych restauracji taty i zawsze znajdzie się tam dla niego wolny stolik.

– Proszę wsiadać – ponagla mnie Andrew.

– Nie – protestuję i zamykam drzwi z hukiem. – Pojadę z przodu. Pogadamy sobie. – Ciągnę mężczyznę za ramię, na co ten śmieje się pod nosem.

Andrew to mój dobry kumpel. Co z tego, że po pięćdziesiątce. Jest młody duchem i można z nim porozmawiać dosłownie o wszystkim. Często odwoził mnie do domu, gdy po szkole wpadałam do kancelarii taty w centrum, i jakoś tak wyszło, że złapaliśmy dobry kontakt. Można mu zaufać. Wiem to, ponieważ mój pijacki wybryk z pierwszego roku w college’u nigdy nie wyszedł na jaw. Zadzwoiłam wtedy do Andrew, będąc naprawdę niezłe wstawioną, a on przyjechał po mnie i obiecał zachować dyskrecję. Pamiętam, że gdy odwoził mnie z tej imprezy, żartował, że będę musiała go później zatrudnić, gdy tata wyleje go z roboty po odkryciu, że nie poinformował go o moim zamiłowaniu do imprezowania w środku tygodnia. To był jednorazowy wybryk. Musiałam się upić, żeby jakoś wytrzymać na imprezie u Collina Sulivana. Nigdy nie byłam typem szalonej imprezowiczki, a tłumy spoconych nastolatków i głośna muzyka zawsze przyprawiały mnie o atak paniki.

– Ma dzisiaj panienka bardzo dobry humor. Czy stoi za tym coś konkretnego?

– No jasne, że mam. Przecież widzę cię w końcu po dwóch miesiącach – odpowiadam, zapinając pas bezpieczeństwa.

– To miłe, ale myślę, że nie chodzi tutaj o mnie. Czy coś się stało pod nieobecność pana Doriana? Jakoś też inaczej panienka wygląda – dopowiada po chwili.

*Musiałam się lekko zaprawić przed kolacją ze sztywnym znajomym ojca, dlatego walnęłam solo pół butelki wina w domu. To chcesz usłyszeć, Andrew?*

*No właśnie.*

– Wszystko w jak najlepszym porządku. Po prostu cieszę się na powrót taty. Nie mów mu, ale stęskniłam się za tą jego nadopiekuńczością,

ojcowską energią i wścibskimi pytaniami. Czasami brakowało mi nawet jego zrządzenia i nieuzasadnionego cynizmu.

– Cóż, pan Dorian również bardzo tęsknił i nieustannie się zamartwiał. Codziennie o paniencie mówił i nie służyła mu ta rozłąka. Zdecydowanie wolałby spędzić ten czas w rodzinnym mieście w towarzystwie córki i mieć panienkę na oku – mówi, ruszając spod posiadłości.

– Ojciec czasami zachowuje się tak, jakbym miała siedem, a nie siedemnaście lat. Przecież już nie raz zostawiał mnie samą w domu i wyjeżdżał w delegację. Przyzwyczył mnie do swoich wyjazdów, dlatego potrafię o siebie zadbać. Zresztą przez te dwa miesiące rozmawialiśmy regularnie przez telefon.

– Jest panienka jego jedyną córką. To oczywiste, że się przejmuję.

– Tak... jest w tym minimalnie pocieszny. – Śmieję się, a Andrew mi wtóruje.

Droga do Adam's mija nam w miłej atmosferze. Dowiedziałam się od kierowcy, że ojciec, będąc w Londynie, całkowicie poświęcił się pracy i przygotowaniom do procesu. Zaszł się w głównej siedzibie Carter Legal Group i nie wyściubił nosa poza cztery ściany kancelarii. Mimo wszystko go rozumiem. Całe życie ciężko pracował, aby stać się numerem jeden w dziedzinie prawa budowlanego, nie tylko na terenie Birmingham, ale i całej Anglii. Dorian Carter – postrach nieuczciwych deweloperów żądnych dominacji na rynku. Nie miał łatwego startu, nie był na uprzywilejowanej pozycji. Ja nie dorastałam w biedzie, czego nie można powiedzieć o nim. Pochodzi ze zwykłej robotniczej rodziny. Mój dziadek prowadził warsztat samochodowy przez blisko dwadzieścia lat, a babcia była krawcową. Tata wywalczył sobie pozycję, prestiż i szacunek własnymi rękami, dlatego tak dba o swój biznes i dobre imię. Małżeństwo mu się posypało, ale została praca, którą lubi i która stanowi jego ucieczkę.

– Na miłość boską, proszę nie biegać w tych butach! – krzyczy do mnie Andrew, gdy rozstajemy się na parkingu nieopodal restauracji. Lokal o tej porze jest tak oblegany, że trudno o chociażby jedno wolne miejsce przy nim, dlatego zatrzymaliśmy się nieco dalej.

– Spokojnie, przeżyję. – Macham mu na pożegnanie ręką, w której trzymam torebkę. – Moje zęby też! – Uśmiecham się do niego, demonstrując dwa rzędy prostych białych zębów, na co mężczyzna kiwa z politowaniem głową.

Rozglądam się i przebiegam przez ulicę w dziesięciocentymetrowych szpilkach, co musi wyglądać komicznie, ale się tym nie przejmuję. Moją głowę zaprzęta już coś innego, a raczej ktoś. Stoi przy wejściu do lokalu, odwrócony do mnie plecami. Dzieli nas spora odległość, ale wiem, że to on. Mógłby stać nawet kilka metrów dalej, a i tak bym go rozpoznała.

Mój ojciec pali papierosa, a lewą rękę wpycha nonszalancko w kieszeń garniturowych spodni. Zamyślony obserwuje Waterloo Street w szczytce ruchu, jakby zdawał się czegoś wypatrywać. Możliwe, że próbuje namierzyć czarnego mercedesa, którym miał mnie tu podwieźć Andrew.

Ojciec w październiku skończy czterdzieści pięć lat, ale wygląda na dziesięć mniej. Gdybym nie była jego córką, to też obstawiałabym, że nie przekroczył jeszcze czterdziestki. Zawdzięcza to dobrym genom i temu, że – jak to mówi – „dokłada wszelkich starań, aby na jego brzuchu niespodziewanie nie wyrosła opona”. Gdy nie ma go w kancelarii, to zapewne jest na siłowni lub w klubie crossfit. Prowadzi bardzo zdrowy tryb życia, poza tym, że nigdy nie rzucił palenia, choć próbował wielokrotnie. Nie zapomnę, jak podczas mojego pierwszego roku w Abbey College Jess Calloway zapytała mnie, czy może dostać numer mojego ojca. Byłam bardzo naiwna i z początku nie rozumiałam, do czego, do cholery, jest jej potrzebny. Później jednak dotarła do mnie brutalna prawda, że ojciec może podobać się małodatom z mojej szkoły, które mogłyby być jego córkami. To straszne żyć ze świadomością, że twój rodzic jest uważany za gorącego tatuśka i wzdychają do niego twoje koleżanki z klasy. Koniec końców, powiedziałam Jess, żeby się odpieprzyła i poszukała sobie kogoś w swoim wieku.

– Palenie skraca życie? Ktoś ci już to mówił?

Na dźwięk mojego głosu tata odwraca się w moją stronę z papierosem w ustach.

– Najwyżej wcześniej przejmę twoją kancelarię. Nie mów, że cię to nie dobije. Gdybym była na twoim miejscu, właśnie zgasiłabym tego papierosa. – Uśmiecham się promiennie.

Kiedy już chcę rzucić mu się na szyję i go wyściskać, papieros wypada mu z ust prosto na chodnik. Zatrzymuję się w pół kroku, widząc, jak zmienia się jego wyraz twarzy. Zielone oczy, dokładnie takie jak moje, rozszerzają się w przerażeniu, a usta wciąż ma lekko otwarte.

– Tato? Zobaczyłeś ducha czy jak? – Macham mu dłonią przed twarzą, aby oprzytomniał.

– Właśnie zobaczyłem. – Zaciska usta w wąską linię i jednym krokiem pokonuje dzielącą nas odległość. Chwyta mnie za ramię. – Co ty sobie zrobiłaś? – Lustruje baczny wzrokiem moją twarz, a później skupia uwagę na odsłoniętych nogach.

– Hej – próbuję się wyswobodzić z jego uścisku – co jest? Jesteś jakiś dziwny.

– Lepiej mi wytłumacz, co jest grane. Jak to możliwe, że gdy rozstaaliśmy się w czerwcu, wracałaś do zdrowia, a teraz mam przed sobą cień ciebie z maja? Naprawdę wyglądasz jak duch.

– No bez przesady! – oburzam się. – Nic mi nie jest. Po prostu gdy byłeś w Londynie, zaczęłam korzystać z naszego basenu w ogrodzie – tłumaczę się jak na przesłuchaniu, a on nie spuszcza ze mnie wzroku, jakby próbował wy badać, czy kłamię.

Z tym basenem to akurat prawda. Zaczęłam w nim pływać, aby ból psychiczny zastąpić bólem fizycznym. Pieczenie mięśni działało na mnie jak wyłącznik dla mózgu. Pokonywałam dziennie po kilkanaście długości basenu, aby moja psychika dostała chwilę wytchnienia. Wychodziłam z wody dopiero wtedy, gdy zaczynało mi się robić słabo.

– Ty i basen – prycha i odchyła głowę w bok, po czym powraca do mnie spojrzeniem. – Przecież ty nie znosisz aktywności fizycznej. Serio, basen, Soph? Nie było mnie dwa miesiące, a ty zdążyłaś się polubić z pływaniem i znowu schudłaś.

– Pływanie naprawdę sprawia mi przyjemność – staram się, by brzmiało to wiarygodnie, ponieważ desperacko pragnę, aby mi uwierzył. – Przecież to normalne, że zgubiłam kilka kilogramów, skoro regularnie pływałam. Nie odchudzałam się celowo. Dodatkowy ruch, spalanie kalorii, mówi ci to coś, tato?

Schudłam, bo nie potrafię jeść. Ale do tego się nie przyznam.

– Kilka kilogramów? Chyba kilkanaście! – Znowu chwyta mnie za ramię, jakby chciał mi pokazać, co ze sobą zrobiłam.

– Nie przesadzaj. Czuję się świetnie i wszystko ze mną w porządku – odbijam jego atak.

– Na ten temat wypowie się lekarz, młoda damo. – Ojciec wyjmuje telefon z wewnętrznej kieszeni marynarki i zaczyna stukać palcami w ekran.

Jak podejrzewam, już umawia mnie na wizytę do naszego lekarza rodzinnego.

– Jesteś nienormalny. – Odwracam się i zaczynam zmierzać w kierunku przeciwnym do Adam’s.

Spadam stąd. Zamiast ucieszyć się na mój widok po tak długiej rozłące, on urządza mi przesłuchanie stulecia i zasypuje mnie wyrzutami.

– Soph, skarbie. Nie uciekaj. – Dogania mnie. – Czy to taka straszliwa zbrodnia, że się o ciebie martwię? Po prostu przeraziła mnie ta twoja nagła zmiana. – Pociąga mnie prosto w swoje ciepłe ramiona, a ja od razu się poddaję. – Krew mnie zalewa na myśl, że znowu chudniesz.

Tęskniłam za nim. Bardzo. Każdego dnia. I każdego dnia żałowałam, że nie mogę mu wyjawić prawdy o swoim stanie, przyznać się do tego, że od dawna nie radzę sobie z problemami oraz że miesiącami go oszukiwałam, wmawiając mu, że czuję się świetnie.

– Gerard zrobi ci badania dla mojego świętego spokoju. Zgodzisz się dla starego ojca, hm? – Odsuwa mnie nieco od siebie, aby móc spojrzeć mi w oczy. – Strasznie za tobą tęskniłem, Soph. Nawet nie wiesz jak bardzo. W Londynie było okropnie i prawie wyczerpałem zapasy cierpliwości, a wiesz, że mam jej ograniczone pokłady. Pracowałem tam ze skończonymi kretynami, w pewnym momencie zacząłem sam siebie pytać, czy świadomie zatrudniłem tych wszystkich ludzi, czy może byłem niepoczytalny, gdy przeglądałem ich CV i zatwierdzałem umowy. Ale teraz mam cię już przy sobie i życie od razu jest bardziej znośne. – Całuje mnie w czubek głowy.

– Niech ci będzie. Pójdę do tego lekarza – mięknę. – Ale te badania to strata czasu. Potwierdzą, że nic mi nie jest.

– O tym marzę. – Tata otacza mnie ramieniem i prowadzi w kierunku wejścia do Adam’s, nie wydaje się jednak przekonany mimo moich zapewnień. – I koniecznie musisz przybrać na wadze. Wyglądasz niezdrowo, skarbie. Bardzo niezdrowo.

– Jesteś taki uparty. Jak ja z tobą wytrzymałam tyle lat, co?

– Jestem prawnikiem. Jaki mam być, jak nie uparty?

– No tak. I na wszystko masz przygotowaną odpowiedź.

– Wybacz, skarbie, zboczenie zawodowe.

Kręcę głowę z politowaniem.

– Niedługo będzie się pan do mnie zwracał „wysoki sędzie”, gdy się pan zapomni, mecenasie Carter.

– Czuję obowiązek tłumaczenia się tylko przed tobą, więc możesz mnie sądzić do woli za zbrodnie, które popełnię przeciwko tobie.

Do moich uszu dociera melodyjny śmiech ojca.

– Zatem, korzystając z mojego sędziowskiego immunitetu, w zgodzie ze swoim sumieniem orzekam, że jesteś winny i w ramach zadośćuczynienia musisz w trybie natychmiastowym odwołać moją wizytę u Gerarda.

Ojciec się zatrzymuje i spogląda na mnie z niedowierzaniem.

– Ale ty jesteś bezczelna i cwana. – Mruży oczy i unosi kącik ust. – Masz to zdecydowanie po mnie – dodaje z dumą i otwiera mi drzwi. – Uchyliłam – ciągnie tę zabawę w sąd i przepuszcza mnie w progu.

– Sam przed chwilą przyznałeś, że to ja tutaj jestem sędzią, więc to ja mam moc uchylania wyroków.

– Koniec tematu Gerarda, wysoki sędzie. Idziesz do niego na wizytę w poniedziałek.

– Dlaczego zamiast zjeść ze mną kolację w domu i uczcić swój powrót, ciągasz mnie po knajpach, abym słuchała, jak twoi mało interesujący znajomi wygłaszają nieobchodzące mnie opinie, dyskutując z tobą na tematy, o których nie mam bladego pojęcia? – wypalam, gdy tata prowadzi mnie do stolika.

– Sam nie byłem wniebowzięty. Marcus zaproponował mi tę kolację raptem kilka godzin temu i czułem, że to nie na miejscu mu odmawiać, po tym jak spędziliśmy większość dnia razem z nosami utkwionymi w papierach.

– To nie mogłeś przyjąć zaproszenia bez wciągania w to mnie?

– Gdy wspomniał, że na kolacji pojawi się z żoną i synami, zapragnąłem też mieć swoją rodzinę przy sobie.

Czyli będzie więcej osób. Mogę jeszcze uciec czy już jest na to za późno?

– To wzruszające. Naprawdę. – Wywracam oczami. – Ile ćwiczyłeś ten tekst przed lustrem, aby brzmieć wiarygodnie?

– Nie naśmiewaj się z własnego ojca tylko dlatego, że uważa cię za swoją największą dumę i chce, by całe miasto o tym wiedziało.

– Więc z kim mamy ten przeogromny zaszczyt zasiąść przy stole? Poznałam tych ludzi? – pytam, gdy tata z ręką na mojej talii sprawnie przeprowadza mnie przez salę wypełnioną gośćmi po brzegi. – Andrew wspomniał, że wracałeś do miasta ze swoim klientem. To jemu nie chciałeś odmawiać i to z jego rodziną zjemy kolację, prawda? Ten cały Marcus to ten od procesu?

Tata ignoruje moje pytania, ponieważ wypatruje czegoś w oddali. Pewnie szuka wzrokiem naszych dzisiejszych towarzyszy.

– Tak, to ten prezes firmy budowlanej, nad którego sprawą pracowałem w Londynie – potwierdza. – Wiesz, o kogo chodzi. Przecież trąbią o tym w mediach przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wręcz nie dają fafotowi żyć.

Tak się składa, że nie oglądam telewizji. Nie czytam też wiadomości krajowych i przez ostatnie dwa miesiące mało mnie obchodził świat zewnętrzny. Pamiętam tylko, że tata, wyjeżdżając do Londynu, wspomniał, że będzie pracować nad sprawą jakiegoś biznesmena z branży budowlanej, któremu za opóźnienie w realizacji projektu grozi wypłata niemałego odszkodowania, a w przypadku niewypłacalności chwila relaksu za kratami. Nie podał mi jednak nazwiska tego człowieka.

– Dobra, widzę ich. – Tata mocniej zaciska rękę na mojej talii i kieruje mnie do odpowiedniego stolika.

Gdy już prawie docieramy do celu i dostrzegam osoby, które zaczynają się podnosić ze swoich miejsc, żeby się z nami przywitać, jestem bliska tego, aby wyrwać się ojcu i pobiec, gdzie pieprz rośnie.

– Nie wspomniałeś, że chodzi o Ravenscroftów – syczę mu oskarżycielsko prosto do ucha.

– Przecież ci mówiłem, skarbie, że musisz ich znać. Ci chłopcy chyba nawet chodzą z tobą do Abbey.

Gdybym w porę się zorientowała, że chodzi akurat o tę rodzinę, wymyśliłabym jakąś dobrą wymówkę i wybiegłabym z tej restauracji w ekspresowym tempie. Teraz jest to już jednak niemożliwe, gdy stoję jak kołek naprzeciwko nich i posyłam im chyba mój jak do tej pory najbardziej wymuszony grzecznościowy uśmiech. Gdybym mogła zrzucić maskę dziewczynki z dobrego domu, zaprezentowałabym światu grymas obrzydzenia.

Moje oczy zatrzymują się dłużej na irytującej mnie do granic możliwości, doskonale mi znanej twarzy.

Przeszywam Ashera wzrokiem i nagle nie potrafię dłużej się zmuszać do uprzejmości. Moje usta zaciskają się w wąską linię i posyłam mu spojrzenie pełne pogardy. Chłopak stoi niewzruszony naprzeciwko mnie i odwzajemnia się podobnym. Czuję chłód, którym emanuje. Jednak w jego zachowaniu jest coś dziwnego, coś, co nakazuje mi być bardziej ostrożną dzisiejszego wieczoru. W innych okolicznościach już na wstępie obdarzyłby mnie jednym z tych swoich odrażających, kpiących uśmieszków, a teraz, z nienaturalnym dla siebie spokojem, zwyczajnie mi się przygląda.

Wywierca mi dziurę w twarzy, a po chwili zjeżdża wzrokiem na moje ciało i analizuje każdy jego centymetr, co niezwykle mnie drażni. To jak cisza przed burzą i zaczynam nastawiać się na najgorsze.

Bo jedno wiem na pewno. Jego dzisiejsze zachowanie, to opanowanie i skupienie wymalowane na twarzy, nie zwiastują nic dobrego.

Niektórym z nas śnią się mrożące krew w żyłach koszmary, które na całe szczęście po przebudzeniu okazują się tylko nieśmiesznym figlem, jaki płata nam nasza własna podświadomość. Budzimy się i odkrywamy, że to zwykła iluzja. Nie zliczę, ile razy w swoich złych snach widziałam twarz Ashera Ravencrofta. Jednak koszmaru, w którym zasiadam z nim i jego rodziną przy jednym stole, jeszcze nie miałam okazji śnić. Właśnie teraz będę przeżywać go na jawie. Wieczór jest długi i wiele może się wydarzyć.

Lepiej, żeby ze stolika zniknęły wszystkie sztuczki, ponieważ nie mam stuprocentowej pewności, że wykorzystam je zgodnie z ich przeznaczeniem. Przecież wypadki chodzą po ludziach i ten niepozorny nożyk do masła, na który właśnie spoglądam, może w powalająco szybkim tempie znaleźć się w oku Ashera Ravencrofta. Wystarczy tylko, że ten kretyn otworzy swoje plugawe usta i powie coś, co mi się nie spodoba.

# PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

**Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!**

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA  
**Helion** 



## Dwa serca na krawędzi. Jeden wybór. I cena, którą trzeba zapłacić...

Siedemnastoletnia Sophia z własnej woli spędza letnie wakacje zamknięta w czterech ścianach, całkowicie odizolowana od świata. Za kilka dni ma rozpocząć ostatni rok college'u, o czym myśli z przerażeniem, zdaje sobie bowiem sprawę fatalnego stanu swojej psychiki. Dziewczyna się głodzi, prześladowają ją także pełne nienawiści myśli – nie znosi siebie, nie cierpi też swojej matki. Odkąd rodzice się rozstali, Sophia nie utrzymuje z nią kontaktu.

Nieoczekiwanie musi stawić czoła pewnemu wyzwaniu. Ojciec prosi ją, by towarzyszyła mu na kolacji biznesowej z jego klientem, którego lada dzień będzie bronił w głośnym procesie o oszustwo. Nie chcąc rozczarować ojca, Sophia się zgadza. Szybko jednak tego żałuje. Gdy się okazuje, że musi usiąść przy jednym stole z rodziną chłopaka, którego od lat szczerze nienawidzi, jej jedynym pragnieniem jest ucieczka – byle dalej od chłodnego spojrzenia Ashera Ravencrofta i od kryjących się w jego oczach pytań.

Tymczasem niespodziewana kolacja ma ciąg dalszy. Asher składa Sophii propozycję nie do odrzucenia. Proponuje jej układ, który miałby być korzystny dla obojga.

### Patroni medialni:



**beyA** 16+  
beyA.pl

ebook dostępny na:  
**ebookpoint**

ISBN 978-83-289-2973-9



9 788328 929739

cena: 54,90 zł